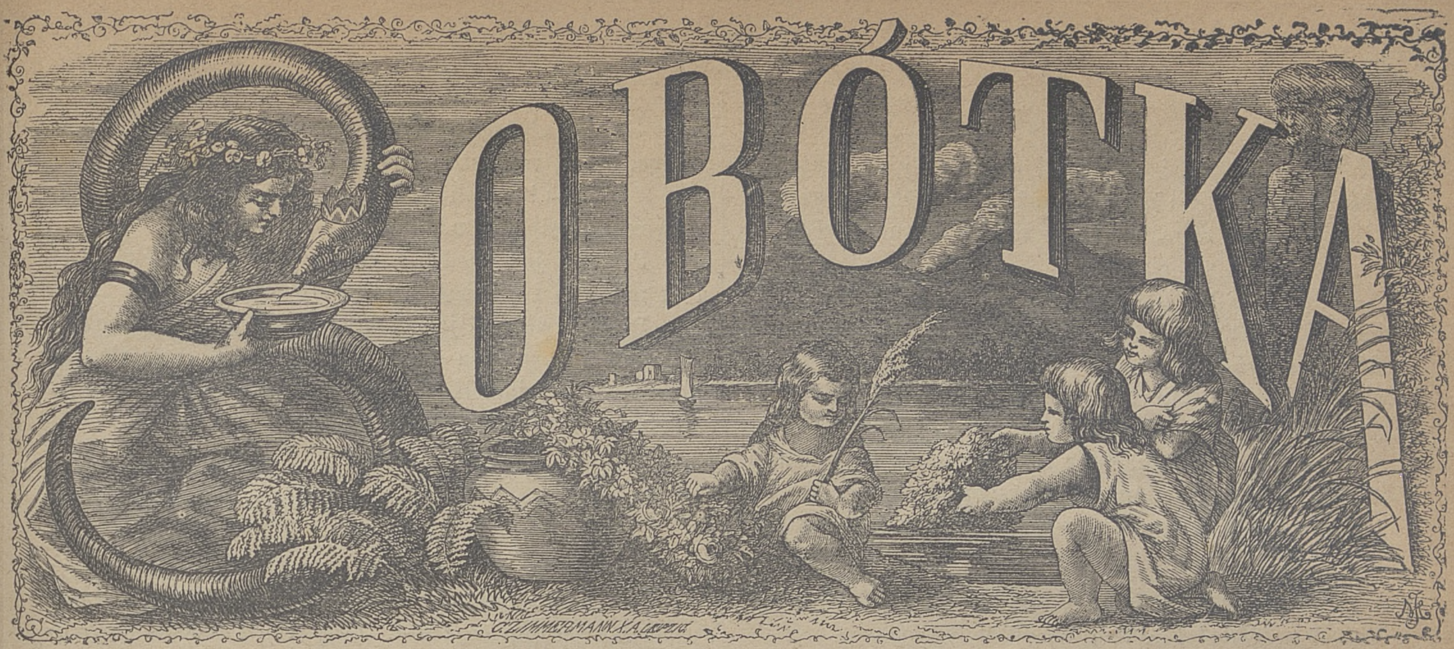


TYGODNIK BELLETRYSTYCZNY ILLUSTROWANY.

Tygodniowo 1 arkusz. Kwartalnie 15 sgr. w Galicyi 1 fl. 15 cent. W poszytach czterotygodniowych po 5 sgr

№ 9. Poznań, dnia 27 Lutego 1869. Rok. I.

AMERYKANIN.

Powieść z czasów Kościuszki

napisał **Wł. K. Wójcicki.**

(Dalszy ciąg.)

Co Tocia mówiła załkanym głosem, nikt nie dosłyszał, bo i ojciec cicho odpowiadał — z początku surowo, a potém padłszy na kanapę, nie mogąc dziewczęcia od nóg swoich oderwać, płakał z niém razem.

Po północy blada, zmęczona, przebolała wróciła do swéj komnatki. Lampka nocna rzucała słabe światło, przy niém ujrzała oblicze spokojne, uśmiechnięte swojéj przyjaciółki.

— Szczęśliwa, szepnęła sobie, może śmiało marzyć o swéj miłości i o Karolu; ich związkowi nic nie stoi na przeszkodzie.

Uklękła przed obrazem Boga-rodzicy, a po gorącéj modlitwie, padła bez siły na posłanie i wkrótce sen młodości zakleił jéj oczy, serdecznemi łzami zroszone.

Nazajutrz powrócił do Międzyborza Kościuszko, a Walenty doręczył mu liścik, pisany drżącą ręką ołówkiem, który zaledwie zdołał przeczytać *).

Stary kredencerz uwiadomił go, że panna chorążanka słaba leży, że nawet znacznie zmizerniała. — Jenerał prosił go, aby przyszedł niedługo, bo odpisze.

Pełen niepokoju — usiadł i skreślił następne słowa!

„*Oddaję Ci wzajemnie, ale łzami skropione dobranoc. Lękam się o twoją matkę, niechże ona się nie gryzie na przymówki, albo impet dobrego, lecz niespokojnego umysłu, dla swej choroby. Niech pamięta że ma dzieci, dla których zdrowie swoje szanować powinna. Uściśnij ją serdecznie, jak ciebie kocha, może dla ciebie uczyni: ucałuj ją szczerem serca przywiązaniem swojem. Ona cię przytuli dobrocią zwykłą swoją. Niech zaśnie dobrze, baw ją i rozrywaj aby nabrała przychylnych do zaspania myśli. Ty, co tak czuła jesteś, zmniejsz ją, abyś nie traciła zdrowia, które dla wielu jest potrzebne. Lecz co za okoliczność wypadła, powiedz mnie, abyś tak razem zapadła, i u nóg ojcu leżała. Powiedz proszę mój aniele, co ci powiadał, aby raził tak dalece serce twe tkliwe, i sam potym płakał. O szczęściu moim nie wisz, że trwa na każdym miejscu dla mnie? Nie widzę tego, ale nawet na każdym miejscu nie życzę. Miałaś mi wiele napisać co się stało pomiędzy tobą a ojcem. O tym wszystkiem nic nie wiem. Nie wiem o twym zdrowiu jak się masz teraz? Co myślisz nawet, radbym wiedzieć, radbym nawet być w sercu twojem, i ogarnąć sercem moim całą. Każdy moment o ciebie niespokojnym mnie czyni. Radbym przewidział myśl twoją i zaspokoić do ukontentowania twego. Co do mnie, wszystek drzę, ale nie od zimna, lecz z wewnętrznej niespokojności, cały mój umysł pomięszany, gorycz w mém sercu, i czuję gorączkę, szarpiącą me wnętrzności. Idź spać, i zaśnij w myślach tobie miłych i zdrowszą widząc matkę przytul głowę do spokojności poduszek, okryj się pełnym duszy ukontentowaniem, a otwórz swe piersi z sercem do ucałowania przezemnie, nadstaw i ust choć delikatne, nie obrażę mem pocałowaniem z przywiązania. Oddaję się téj opatrzności, która nam wszystkim jest dobroczynną. Jeszcze raz niech cię pocałuję: odchodzę, bo w myślach zawsze przy-*

*) „A propos pisz wyraźniej, gdyż połowę utracam ukontentowania, albo jeżli napiszesz ołówkiem, umocz w wodę to się litery nie stracą.“ (List T. Kościuszki do Tekli Żurowskiéj).

tomnym jestem ciebie: daj nóżki, jeszcze raz bywaj zdrowa).“*

Na wiadomość o słabości chorążanki nadbiegł doktór Stakenszmitt: zbadał uważnie stan choréj: szepnął kilka słów do ucha, na które skraśniała rumieńcem, ale i uśmiechnęła się rzewnie.

Otoczona troskliwością matki, panny Brygidy i przyjaciółki, orzeźwiała, gdy Walenty nieznacznie podał jéj liścik powyższy jenerała. Po przeczytaniu go zachowała troskliwie, aby nikt nie wiedział o bolesnéj scenie z ojcem, który teraz nadzwyczaj pokazał się czułym.

— Miéj nadzieję, moje dziecię! może Bóg dozwoli, że się wszystko odmieni na szczęście twoje: szepnął jéj, odchodząc, a te słowa więcéj pomogły, jak wszystkie lekarstwa.

W godzinę bowiem już ubrana siedziała na ganku, weselsza, lubo z przybladłém nieco licem.

Żurowski coraz większy niepokój utajał w sobie. Gryzł się oszustwem szambelana i stratą pewną dwustu dukatów, ale nie dowierzał Kościuszce, tém bardziéj, że znów otrzymał list bezimienny z ostrzeżeniem, iż jenerał zamyśla o wykradzeniu córki. — Znał jéj miłość i przywiązanie, bo mu sama na kolanach wyspowiadała się ze swych uczuć. Nie wątpił, że Kościuszko łatwo do ucieczki namówić ją potrafi. W liście tym szczegółowy miał opis przygotowań do uwiezienia chorążanki. — Stracił głowę, wybiegał z domu, a robiąc tajemnicę przed wszystkimi, sam śledził każdy krok córki i jenerała. — Podchodził niby przechadzką pod dziedziniec jego kwatery, ukryty patrzał w otwarte okno od komnatki córki, czy nie ujrzy jakich znaków umówionych**). Ale w kwaterze Kościuszki głęboki spokój panował: jenerał czasami siadywał na ganku, zatopiony w smutném dumaniu a w otwartém oknie ukazała się tylko panna Tekla rzucając wiązankę kwiatów Kniaziewiczowi i zobaczył dygającą siostrę na głęboki, pełen uszanowania ukłon kłusującego rotmistrza Zaremby.

Te czaty zabrały mu kilka dni czasu.

Długo się wahając, powziął stałą myśl jak najrychlejszego wyjazdu do domu. Zaprosił więc tegoż wieczora z jenerałem i posłem wszystkich znajomych oficerów, a po kolacyi, spełniając staropolski zwyczaj:

„Wiwat! kochajmy się,“ oznajmił, że nazajutrz w południe już opuszczają Międzybórz!

Jak piorun uderzyła ta wiadomość Kościuszkę. Prezesowa i Tocia były do niéj wcześnie przygotowane.

Zaremba i Kniaziewicz nagle posmutnieli: — nawet zawsze wesoły i gotów do radosnego śmiechu Raciborski osowiał.

Żurowski żegnając zebrane towarzystwo, rzekł z więcéj rozpogodzoném obliczém.

— Chociaż się rozdzielamy, przyjaźń nasza zostanie, a każdego z was, gdy raczy odwiedzić moje skromne progi, przyjmę z otwartém sercem, „chlebem i solą a z dobrą wolą.“

*) Dosłownie z autografu T. Kościuszki.

**) „Dziś uważałem, że się koło okna przechadzał u was i mocno się patrzał w stronę ku mnie: zapewne jest w podejrzeniu jakowém, ale myśleć źle o nas niepowinien, i sam siebie krzywdzi i nas.“ (Z listu Kościuszki do Tekli Żurowskiéj).

X.

— Konia! prędzéj konia dawaj Janusz i siadaj na swego, wołał rotmistrz Zaremba.

— Konia! wołali razem, przed stajnią stojąc, Kniaziewicz z Raciborskim.

Potocki już siedział na swoim gniadoszu, który rżał radośnie i grzebał ziemię kopytem.

Przed kwaterą jenerała głęboki spokój panował. W komnatce panien pusto było. Tocia siedziała zapłakana z przyjaciółką swoją i odczytywała list Kościuszki z pożegnaniem.

„Ngidy a nigdy o tobie niezapomnę, mocno jesteś w mem scrcu wrażona, aby odmiana sprawić mogła przez czas i odległość: prędzej twoje zamieni się widokiem młodszych, grzeczniejszych i bogatszych, jak ojciec ma nadzieję: ale żartuję, twoje serce wiem, że tchnie duchem przywiązania. Twój umysł dalekim jest rządzenia się powierzchownością. Chcesz tylko szczerego serca, i masz go we mnie. Rozpatrz się jednak w charakterze moim, aby pomiędzy plotkami prawdy o mnie nie było, i pozwalam różnych użyć sposobów ale otwartych, inaczej wiem że twoja dusza tak dobra, brzydziłaby się postąpić inaczej. Wyjeżdżacie do K o r d o n u*) *jak długo zabawić myślicie, polegam na waszej delikatności serca i charakterze. Jeżeli odmiana stanie się, chociaż przeciwna mnie, a uszczęśliwiająca moją Teklusię, lubo zapłaczę, ale kontent będę losu jej. Używaj dobrych dni promenady. Zabawiaj się z matunią, jak najlepszą powiem w świecie. Schyl główkę na łono jej przywiązania dla ciebie, i zaśpij umartwienie z ucałowaniem zobopólnem i święłym zaufaniem jedna ku drugiej. Zabawiaj się czemkolwiek rysowaniem albo książką, czyli ogródkiem, abyś zdrowia nie straciła, które jest darem największym natury. Szanuj zdrowie swoje, i niech szanuje matunia nasza dobrodziejka: użyj sposobów do wybicia z czucia jej wrażeń przykrych dla niéj. Nie wspominam o sobie, co mnie zadajecie ran z waszego niezdrowia! Bóg by dał, abyśmy żyć mogli razem! Bóg by dał, aby ojciec inszem widział mnie okiem, albo nie miał łatwowierności i niepowodowałby się przez drugich. Niebo z nami by było, uszczęśliwienie zobopólne, miłość, wdzięczność, uleganie i przywiązanie jedno tylko widziane by było. Może pobłądziłem w pisaniu do ojca, ale otwartość zawsze na to narażona jest. Nie umiem myśleć i mówić inaczej; prawda w sercu i w ustach moich jest zawsze, a każdy ma nieprzyjaciół mniej lub więcej.*

„Do ciebie teraz obracam się matko dobrodziejko, i ucałowawszy stopy twoje, dziękuję za twe świadczone łaski: przyjmij nieskażone dla ciebie uszanowanie z serca szczerego pochodzące, przyjmij wdzięczność, która się z życiem moim skończy: przyjmij i szacunek, który tak wysoki mam.

*) Tak nazywano po pierwszym podziale kraju Galicyą. Żurowski mieszkał w województwie podolskiém, ale miał zastawę w Galicyi, i tam właśnie wyjechał z Międzyborza.

„Trzeba cierpieć na świecie, bez umartwienia miejsca nie ma, i słodzić nam tylko potrzeba przychodzące. Mając serce tak czyste, charakter tak wielki, czucie tak delikatne, trzeba mieć wewnętrzną satysfakcyją, która jest najprzyjemniejsza: odrzucić potrzeba wszystkie martwiące rzeczy, a zmniejszyć one rozumem swoim. Gdzież poszukać osoby, o którejby nie gadali, ale czystość sumienia ma swą nagrodę w duszy. Perswaduje ci matko dobrodziejko, co sam wykonać nie zdołam, ale masz więcej cnót i przymiotów, których ja nie posiadam.

„Da Bóg, tak się spodziewam, przy niewinności naszej, że szczypiące honor drugich żmijki w ciemności zawsze zostawać będą przed prawdą, której światłość zawsze im szkodliwa. Nocy im są przyjazne jak sowom lub niedoperzom, które szkodzą uśpionym niewinnym ptaszętom, ale dzień nadejdzie i zniknął: dnia się zawsze trzymajmy, a Bóg nam dopomoże. Oddaję was opatrzności, która i dla nich jest dobroczynna.

„Jedźcie z moim życzeniem, a bądźcie zdrowi i wszystko nam się powodzić będzie. Zawsze z wami będę chociaż nieprzytomny: sercem i myślą, które będą stateczne!

„Podłość nie przystaje do mnie, płaszczenie się równie, a nie mając nic do zarzutu, wesołym okiem podnieść głowę w górę mogę, ale niepogardzającym na nikogo. Niech się stawi kto do zarzutu, a każdego zawstydzę, niech się nie boi zemsty: ale świadkami będę bronić się, i okażę prawdę, a nareszcie, jeżeli mam bydź zawsze w podejrzeniu, mam sprawywać zawsze umartwienie, uchylę się od wszystkiego, abyście byli szczęśliwemi. Boże daj wszystko co chcecie; ja spokojności życzę, życzę w przyjacielu jeżeli otrzymam, znaleźć zobopólne zaufanie, przywiązanie, delikatność, czułość, tkliwość. Od głupich, zawistnych, złych, mściwych, zawsze będę mieszkać; w obrębie małych szczęśliwości żyć pragnę.

„Zapytajcie się przecie uczciwych ludzi i niemających interesu: naprzykład księcia generała Czartoryskiego), Morskiego i innych w tej klassie: a jeżeli oni co z tego o mnie powiedzą, wierzcie wtenczas. Ale podłe dusze, przyzwyczajone do zmieniania z wiatrem sentymentów swoich, aby mieli wiarę? Ale wierzcie co chcecie, daję wam na wolę.*

*„Macie rozum i piękny, możecie rozeznać sami prawdę od fałszu, ja zaś kontent jestem, jak myślę, i niechcę się zmieniać na żaden charakter tych wszystkich Jchmościów. Całuję nóżki matki dobrodziejki. Ściskam was serdecznie, na zawsze z statecznością**)“*

Tocia po przeczytaniu tego listu, w którym z całą otwartością tak się wiernie odmalował, gorzkiemi zalała się łzami, bo na samym początku zrobił jéj wyrzut, że go dla innych zapomni. Matka czytając, smutnie potrząsała głową, gdy zatętniła ulica i kłusem wyciągniętym nadjechał rotmistrz Potocki, zeskoczył z konia i wbiegł do komnaty, gdzie zastał we łzach chorążankę.

*) Książę Adam Czartoryski, jenerał Ziem Podolskich i dowódzca korpusu kadetów w Warszawie, gdzie się kształcił Kościuszko i zyskał jego względy i szacunek.

**) Podług autografu Kościuszki.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Wybór.

Znam ja oczy, co błyskają,
Jak dwie gwiazdki w ciemną noc,
A tak palą, przenikają,
Taką dziwną mają moc,

Że gdy kto raz tylko zoczy
Te prześliczne czarne oczy,

Całą duszą w nich utonie,
Nie zapomni już ich — o! nie! —

Lecz znam jeszcze oczka inne,
Jako lazur nieba w dzień,
A tak łzawe, tak niewinne,
Tak je smutku mroczy cień,

Że gdy spojrzą te oczęta,
Tak ich siła, przejmie, spęta,

Że przez całe życie twoje
Chciałbyś patrzeć w tych ócz dwoje. —

O tych oczach ja myślałem
I marzyłem wśród mych snów.
Czarne oczka raz wybrałem,
To niebieskie oczy znów.

Lecz gdy smutnych raz ócz dwoje
Oh! spojrzało w oczy moje
I łza spadła z ich powieki,
Jam je wybrał — już na wieki. —

Inowrocław, 5 lutego 1869.

Władysław St.n.

Szkice Karpackie.

I.

Górale w Tatrach (z ryciną.)

Czeladź górska też nie podła;
Lud wysmukły, niby jodła,
Niby górski potok szybki,
Jak ptak lekki, jak pręt gibki,
Wiecznie niby, młody młodzian!
Strój ma krótko ukasany,
Topór jasno nabijany,
A sam wszystek wełną odzian.

W tych kilku słowach można wraz z śpiewakiem Pieśni o Ziemi naszéj zamknąć charakterystykę górali Tatrańskich, których rycina nasza na stronie 68 przedstawia. Jest to lud dorodny, dziarski, przewyższający inteligencyą i zamożnością mieszkańców sąsiednich dolin. Wsie u nich wielkie, ludne, chaty czyste, przestronne, nieraz murowane, strój oryginalny, dobrze uwy-

datniający piękną budową ich ciała. Mimo, że zima w górach trwa przez sześć miesięcy i śnieg nie raz w sierpniu pada, nie cierpią jednak niedostatku, bo nadzwyczajna ich pracowitość, rzędność i zaradność równoważy złe wpływy klimatu. Rólnictwo u nich ogranicza się niemal na uprawie owsa i ziemniaków, za to kwitnie pasterstwo, gospodarstwo mleczne i przemysł. Większa część górali umie czytać i pisać, niektórzy z nich posiadają nawet zupełne wykształcenie szkólne. Zdobią ich śmiałość, sprytność i hart duszy, które to zalety jednakże niekiedy przechodzą w zuchwalstwo, przebiegłość i mściwość. Pijaństwo jest u nich nieznane, a przywiązanie do ojczystych gór równie silne, jak u górali szwajcarskich e.



Górale w Tatrach.

Zmartwychwstanie z trumny.

Obrazek z niedalekiéj przeszłości

skreślił **Stefan Chorm.**

(Dokończenie.)

Niedługo potém w nocy zjawiło się konno przed dworkiem kilkunastu ludzi. — Wybiegł wylękły gospodarz, myśląc, iż to kozactwo. „Lecz, to nasi!“ z uradowaniem stojący w progu rzekł stróż nocny. Już w sieni stanął młody człowiek z krakuską na głowie i zapytał: — „Gdzie ranni?“ — „Tutaj!“ — i wskazał gospodarz, gdzie leżą. —

— „Muszę ich odwiedzić, to moi znajomi“ — i wszedł do pokoju.

Zaraz przy drzwiach przywitał go jeden: — „a wi-

tam paniczka!" „Witam pana adjutanta," — woła drugi. — „Jak wyzdrowieję, pójdę znów z paniczkiem bić Moskali." — Rozmawiając trochę z nimi pożegnał się i prosił, by go na grób pułkownika zaprowadzono.

Sam gospodarz ruszył na cmentarz i wskazując na wielką mogiłę,ośrebrzoną blaskiem miesięcznym — „Tu leży między swą wiarą!" — smutno powiedział. Ukląkł adjutant, pomodlił się trochę i szepnął:

— „To wszystkich raz nas czeka." — Pożegnał gospodarza, dopadł konia i zniknął jakby duch w nocy.

Szumny buletyn w Dzienniku Powszechnym donosił o odniesioném zwycięztwie, rozproszeniu bandy i zabiciu dowódzcy, ma się rozumieć, to wszystko w zwyczajnym stylu, to jest ze stratą jednego tylko kozaka ze strony carskich wojowników. Dzienniki zaś polskie doniosły z czarną obwódką o śmierci jednego z zasłużonych dowódzców i tu i owdzie odprawiono żałobne za duszę jego nabożeństwo.

W parę tygodni przybiegł raz znajomy nam gajowy do plebana i zakupił mszę za duszę dowódzcy, którego ducha spotkał był pod wieczór w lesie; mówił, że przeżegnawszy się, zaraz do domu uciekł.

Później na polu bitwy krzyż postawiono jako i na mogile poległych. — Ileż takich mogił świeci na naszéj ziemi? Ileż nowych podań i wspomnień zostanie w narodowych dziejach?

Niechaj wam będzie lekka ziemia, męczennicy w mogiłach! wyście tam szczęśliwsi, jak my pozostali tu na tym żywych cmentarzu!... Cześć Wam polegle ofiary! —

Przenieśmy się z zachodzącém właśnie słońcem na zachód, na obcą ziemię — nad brzegi Elby. — Było to w wieczór w Dreznie na Brylowskiéj terasie w 1864 roku.

Młody człowiek kulejąc trochę na jednę nogę, przechadzał się wolno. Jest to nasz znajomy — pan adjutant.

Naraz przechodzi koło niego jakiś mężczyzna. Adjutant spojrzawszy z osłupieniem na niego, zawołał: — „Umarli z grobu wstają! — czy duch jego, czy pułkownik?" — i zatrzymał, przepraszając przechodnia.

„A to ty!" — i chciał go uściskać zaczepiony, lecz adjutant z pewnym strachem spoglądał jeszcze na niego, nie dowierzając swoim oczom. — „Czyś z grobu zmartwychwstał? czy pokutujesz na ziemi, bo wiem że raz umarłeś?" —

— „Tak, umarłem dla świata, — rzekł cicho pułkownik — ale znów żyję. Chodź ze mną, to ci opowiem." — „Dokąd iść z tobą?" — „Jak widzę, bierzesz mnie ciągle za ducha. Przecież zaprowadzę cię nie do grobu, tylko do hotelu. Tam wypijemy sobie zdrowie nasze, zapalimy lulki i pogawędzimy. Nie bierz mnie za upiora u kata!" — „Formalnie zgłupieję, rozmawiałem z ludźmi, co obok ciebie, gdyś konał, leżeli, co ciebie w trumnie widzieli, co za twoją trumną postępowali, co cię do grobu spuszczali, co ci grób potém sypali, modliłem się sam na twéj mogile, czytałem o twéj śmierci w dziennikach — na raz po roku zmartwychwstajesz z trumny, z mogiły. — Nie, to być nie może!"

„Wszystko prawda, konałem, leżałem w trumnie, schowali mnie do mogiły, wiem, że się nad nią modliłeś, dziękuję ci, lecz mimo tego ja żyję i zaraz rozwiążę ci tę zagadkę. Lecz pod słowem zostanie największą tajemnicą, że żyję. Chodźmy!" —

Szybko ruszyli i wkrótce stanęli w mieszkaniu pułkownika, zapalili obydwaj cygara, a pułkownik zaczął opowiadać: — „Wiesz, jak mnie nie mogliście unieść z pola bitwy! ci łotrzy kozacy najpierw mnie dobijając obdarli i zostawili; potém wiesz, iż mnie znaleźli między rannymi. — Moskale chcieli mnie zabrać ze sobą do miasta, wyleczyć trochę, osądzić i jako dezertera rozstrzelać. — Próżno prosiłem się o pistolet, bym mógł się sam dobić na miejscu. — „Panie! ja jeszcze może wyratuję pana," — rzekł szlachetny gospodarz. — Ale ja nie widziałem sposobu, bym uszedł śmierci. — Później w tym pokoju, gdziem leżał, zaczęły się jakieś szepty doktora z gospodarzem. Doktór wojskowy z początku się wzdrygał. Potém wmięszała się do rozmowy pani domu wraz z córką, w końcu widziałem, iż obie się do nóg rzuciły wojskowemu lekarzowi i o coś prosiły. Widziałem ogromną walkę w jego duszy, spoglądał na mnie, schylił się i podniósł błagające u nóg jego panie, a potém wymówił słów kilka. Rozpromieniły się oblicza szlachetnych niewiast. Ja nic nie pojmowałem, co to wszystko znaczy, aż tu podskoczył do mnie gospodarz i szepnął: „wybawion będziesz z ich rąk, umrzesz, tu cię pochowamy i..." nie skończył, bo ktoś ze służby do pokoju wchodził. Myślałem, iż namówili doktora, by mnie otruł i tak zakończył żywot, nie dawając mnie po raz drugi na pastwę Moskalom. — W téj chwili zjawia się ksiądz pleban i od wszystkich spiskowych odbiera przysięgę, potém i odemnie chce odbierać, że śmierci swéj tak długo nie odwołam, póki mnie do tego sam doktór lub gospodarz nie upoważni. — „Jakżeż ja mogę po méj śmierci odwoływać co na ziemi?" — i pomimo woli musiałem się uśmiechnąć. Dopiero zaczął mi objaśniać pleban. — „Pan umrzesz pozornie, będziesz konał, doktór zaraportuje, żeś skonał, włożymy cię w trumnę, zabijemy ją tak, że będziesz mógł oddychać, zawieziemy na cmentarz, spuścimy do grobu, tam bez przysypania do wieczora zostawimy, w nocy będziesz z trumny wydobyty i uwieziony do sąsiada, a potém za granicę, lecz tu się nigdy nie pokażesz i znikniesz na zawsze." — Dopiero zrozumiałem plan cały i wyciągnąłem rękę do szlachetnego doktora. Nie był to Moskal, carski sługa podły, lecz Rosyanin, człowiek z uczuciem szlachetności, a ten krok ryzykowny dowodził, że miał wielki hart duszy.

Jakoż później zaczęła się komedya śmierci, którą mi przy tylu ranach i po takiém osłabieniu, łatwo było odgrywać.

Ponieważ do tajemnicy mało kto był przypuszczony, było więc wiele łez i płaczu pomiędzy otaczającymi, co urzeczywistniało me konanie.

Przyszły umówione ostatnie chwile, pokazali się spojeni Moskale, lecz ledwie się do pokoju wsunąwszy, wynieśli się powarzeni. Zaraz zrobiłem oddech umówiony, postawiłem oczy w słup, a doktór schwycił mnie za puls i powiedział: „skonał," zakrywając kołdrą twarz moję. Słyszałem płacz i żal poczciwych kobiet, pó-

źniéj wniesiono trumnę, a trupa mego niby doktór wojskowy pilnował. — Potém sam z gospodarzem włożył mnie w trumnę, a dawszy cukier z trzeźwiącym sokiem w usta, obaj zabili wieko tak, iż mogłem dość dobrze oddychać. Po chwili zaczęto się do pokoju schodzić i ubolewać, słyszałem jeczcze głosy Moskali, lecz byli oni umyślnie tak przez gospodarza spojeni, że ledwo chodzić mogli, co ułatwiło moje ocalenie. — Nareszcie uczułem, że biorą mnie w powietrze i niosą na karawan. Ruszył pogrzeb mój, raz po raz dał się słyszeć szczęk moskiewskiéj broni, lub nawoływanie kozaków. — Już uczułem, iż jestem na cmentarzu, że spuszczają mnie do grobu, potém rozległ się łoskot piasku rzuconego przez księdza na wieko trumny — jeszcze kilka grupek spadło jako ostatnia przysługa, którą mi orszak pogrzebowy oddał. — To wszystko tak mnie osłabiło, że omdlałem niedługo i dopiero w nocy przyszedłem do siebie. — Nie byłem już w trumnie, lecz leżałem wygodnie na wozie i jechaliśmy borem. Obok mnie siedział gospodarz, szlachetny mój wybawca i nacierał mi czoło, dając wąchać jakiś płyn trzeźwiący. —

Sam sobie nie dowierzałem, czym ocalony rzeczywiście, lub też jestem tylko igraszką snu zwodniczego. Dziś jeszcze, przypomniawszy sobie te chwile, doznaję tego samego wrażenia. Chciałem coś przemówić, lecz mi nie pozwolono, abym się nie osłabiał. Zasnąłem upojony leśném aromatyczném powietrzem. —

Obudziwszy się, ujrzałem się w pokoju na łóżku, gdzie pilnowała mnie jakaś nieznajoma staruszka. W kilka dni mogłem już rozmawiać, dowiedziałem się, iż jestem nie bardzo daleko od szlachetnych mych oswobodzicieli, bo rany moje nie pozwalały mnie zaraz wywieść za granicę.

Po upływie kilkunastu tygodni mogłem już wstawać i wtenczas podwieziono mnie do boru, w którym była owa bitwa, zkąd wieczorem puściliśmy się rozstawnemi końmi wraz z moim wybawcą ku granicy, a w kilka dni byłem już w Dreznie.

Tymczasem w boru napotkał mnie ów przewodnik gajowy, lecz ujrzawszy, przeżegnał się i zaczął uciekać, jak wtenczas przed potyczką, lotem zająca do wsi, biorąc mnie za ducha; jako też dał zaraz na mszę za mą duszę. —

No! czy rozumiesz teraz całą sprawę kochanku? — uśmiechając się, dodał pułkownik. — Czy jeszcze bierzesz mnie za upiora lub za ducha pokutującego?" — „To co innego pułkowniku, lecz prawda pułkownik zginął" — i adjutant zaczął się śmiać serdecznie. —

— „Nie tak łatwo uwierzyłby kto w tamtych stronach, że żyjesz, a najmniéj Moskale. Ile oni chrestów i pochwał dostali za twoje zabicie!" — „Wierzę, bo ja sam długo uważałem to całe zajście za sen gorączkowy i czekałem rychło mnie po obudzeniu rozstrzelają Moskale." —

— „Teraz — nalewając kieliszki pełne wina, rzekł pułkownik — wypijmy zdrowie mych wybawców!" — „I zdrowie poległego pułkownika, życząc, aby zmartwychwstałemu zawsze tak się udawało śmierć oszukiwać," — dodał wesoło adjutant, ściskając się serdecznie z pułkownikiem. —

— „Wiesz co, — zakończył tenże — widać, że Pan Bóg nas będzie jeszcze potrzebował i zachował na przyszłość. — Dożyjemy może jeszcze lepszych czasów!" —

Kronika warszawska.

Karnawał umarł!... Zapakowaliśmy tedy wierzytelności na wierzch, złudzenie na spód i wzięliśmy się do kantyczek staroświeckiego wprawdzie pokroju, ale u nas bardzo używanych... gorzkich żalów!

Porządek publiczny, a w części i moralność, na szwank zawieją karnawałową wystawione, do normalnego powróciły stanu. Płeć nadobna, zaniechawszy źle adresowanych westchnień, oddaje się rozmyślaniu o znikomości rzeczy ludzkich. Dziarska młódź nadarłszy rękawiczek nabiwszy się co nie miara gratysowych hołubców, poświęca się przyzwoitéj restauracyi i możliwéj likwidacyi długów à conto niedoszłych posagów pobranych. Matrony, prawdziwe ofiary dziecięcego despotyzmu, zaniechały niesfornéj kanapowéj drzemki i trwalsze z Morfeuszem zawiązały stósunki. Ojcowie rodzin, rozbroiwszy popielcem pretensyonalne żądania, oddają się z całą uczciwością i nabożeństwém grom niewinnym, w rzędzie których „latający bezik" zaszczytne zajmuje miejsce!

Słowem najdoskonalszy panuje spokój i porządek, o jakich nawet ideał wszystkich stróżów, Hugowski Javert, wyrobionego nie miał pojęcia!... Wprawdzie od czasu do czasu wyłoni się jeszcze na świat Boży „balik przyjacielski", ale ponieważ przeważnie poświęcanym bywa ku chwale a pożytkowi siły zbrojnéj, nie psuje ogólnéj harmonii; przeciwnie uzupełnia krajobraz, lekkiemi chmurami jasny zasnuwając nieboskłon!....

* * *

Mamy zatem post. — Chwila najstósowniejsza do rozpamiętywania. „Wejdźmy więc w siebie", jak powiada anachoreta i zastanówmy się nad dzisiejszém położeniem. Chorobą naszą chroniczną — chorobą, obejmującą wszystkie bez wyjątku warstwy społeczeństwa, jest najzupełniejszy brak... pieniędzy. Obywatele ziemscy, w tak są nieciekawych interesach, że nie wnoszą ani rat Towarzystwu Kredytowemu, ani należności skarbowych; naturalnie, że o prywatnych długach wymowne zachowują milczenie. Jest to faktem, bo nawet tę niewypłatność wzięto jako motyw do projektu nowéj IV. okresu pożyczki na dobra. Kraj nasz jest przeważnie rólniczym; jeźli więc pierwszy producent i ostatni konsument — rólnik — stoi nad finansową przepaścią, to w niéj już z pewnością spoczywają kości kupców, rzemieślników, artystów, literatów e tutti quanti. — Jeżeli do tego dodamy setki urzędników spadłych z etatu, śmierć kredytu, stagnacyą handlową i niepokoje polityczne, utworzymy sobie miluchny rodzajowy obrazek z charakterem czysto miejscowym.

Powierzchownie téj ogólnéj biedy nie znać w Warszawie, doświadczona to bowiem kokietka, którą jeszcze wspiera piekielny chyba wymysł życia nad stan. W niedzielę pogodną snują się tysiącami po ulicach młodzi ludzie w ubiorach, budzących podziw w przechodniach a uszanowanie w klasie niższéj. Od stóp aż do głowy, czyli mówiąc językiem dzisiejszym, od butów aż do kapelusza wszystko jest modne, kosztowne „z szykiem."

A z wszelką pewnością kronikarską i jako prawdziwy Warszawianin, mogę się założyć, że na stu — dziewięćdziesięciu pięciu nie ma żadnego majątku, a połowa, co najmniéj, bardzo skromne utrzymanie. Trzydziestu zaś na stu nie ma ani majątku ani utrzymania.

Jakżeż więc żyją? zapytacie. Cudem?... Nie, cudu żadnego nie ma; jest trochę kredytu, trochę pomaga rodzina, pożyczy znajomy, „urządzi się“ jakiego drobnego kapitalistę, a jeźli to wszystko nie wystarczy, to przecież są rozmaite gatunki „blagi“, wynalezionéj przez mężów przemysłowych, ludzi ad hoc!...

Płeć nadobna w tém „życiu nad stan“ nie pozostała w tyle; panie nasze stroją się, i to w najpełniejszém znaczeniu tego słowa. I nie dziw, bo zamiast rozumnego przysłowia„skromnie kocie—idzie o cię!“ mamy drugie, już w katechizm małżeński wciągnięte: „zastaw się, a postaw się.“ Na każdym więc niemal kroku, spotkać można żonę lub córkę biednego urzędnika w stroju wyższym nad wszelką krytykę i uzbrojoną kokiem, jak mała stodoła kolonisty niemieckiego. Nie sądźcie abym pragnął przedstawić Wam w jak najniekorzystniejszém świetle młodzież warszawską płci obojga. Niech mnie od tego strzegą feletonistów duchy opiekuńcze!...

Notuję fakt i piszę to co widzę, a co mnie razi i głęboko boli.

* * *

Dzięki staraniom — z powierzchowności świetnie się prezentujemy; nic więc dziwnego że nas rok rocznie raczą Operą Włoską, tak potrzebną jak niewidomemu kompas. Zdolni artyści nasi tułają się po zagranicy; śpiewacy wielkiéj przyszłości nie mają ani szkoły, ani środków ani zachęty, a krocie płacimy, słuchając takiego pana Carriona, który kochając się na scenie lat pięćdziesiąt, wolałby dać sobie pokój. Pannę Artôt i Bossi'ego, dwa rzeczywiste filary trupy, podziwialiśmy roku zeszłego; opera więc włoska nie ma powodzenia. Dyrekcya pomimo to zapłacić musi, a straty są znakomite; losy jednak pozwoliły domacać się dramatycznego pulsu w publice; jedyny to środek ratunku, trzeba go więc zużyć, zapełnić kasę, nie po to, aby podnieść płacę artystom naszym, ale aby wzbogacić impressariów i sypać złoto w niepróżną już kieszeń śpiewaków włoskich. Podczas więc srogiéj posuchy kasowéj zjawiają się na scenie „Zbójcy“ Szyllera; przygotowywa się „Szajlok“ Szekspira i mówią o wyjątkach z „Hamleta“ po powrocie Modrzejewskiéj do Warszawy. Qui vivra... verra. To jednak pewna, że dzisiejsza dyrekcya na legalniejszą trochę wstępuje drogę, choć zawsze czuć, że administracya chodzi w sztylpach. Może z czasem godność prezesa teatrów weźmie górę nad stopniem pułkownika....

* * *

Rozeszła się u nas wieść, która, jeźli nie jest prawdziwą, to przynajmniéj „dobrze znalezioną.“

Prezydent miasta, jenerał Witkowski, człowiek rozumny i sprytny, nabył czy dostał — bo to wszystko jedno, dom niegdyś na skarb zabrany wprost teatru, na rogu ulicy Niecałéj i Wierzbowéj; otworzywszy przez ulicę Niecałą przejście do Ogrodu Saskiego i stworzywszy tym sposobem koło domu swego spotęgowany ruch, postanowił bardzo roztropnie wyrestaurować i pourządzać sklepy. W styczniu odbiera list z Paryża, w którym emigrant, dawny właściciel, najserdeczniéj mu dziękuje, że tak troskliwie i z taką znajomością rzeczy administruje jego domem i że sam wkrótce przybędzie.... odebrać i ponownie ustną złożyć podziękę!...

Prawdziwy dowcip nie zamarł jeszcze w Warszawie. Na czwartéj maskaradzie do okrętowego majtka zbliżył się jakiś młodzieniec urodziwy i rzekł:

— Żeglarz jesteś — a gdzież wiosło?...

— Wśród tylu bałwanów — wiosła nieużyteczne!...

Alf.

Sobotnia pogadanka.

„Przygrzywana potrawka i ciepłe kluski są w Poznaniu!“ — Co to znaczy? Nuże, panowie gastronomowie de haut parage, ruszcie konceptem i rozwiążcie tę zagadkę Dziennika Poznańskiego, bo my zwyczajne śledziojady i żuropije napróżno sobie głowy nad nią łamiemy. Wprawdzie dowcipny Edyp nie dostanie „Poezyi“ Zaleskiego w nagrodę, jak za odcyfrowanie Kobylepola w naszéj Sobótce, ale za to.... dowie się ciekawego skandaliku i znajdzie klucz do innych niezrozumiałych anonsów Dziennika, któremi się teraz lubownicy i przeciwnicy „ciepłych klusek“ w obec całéj publiki policzkują, zasłoniwszy sobie twarze maską anonimu.!

Już to do takich pojedynków na kulawe dowcipy w spuszczonych przyłbicach przywykli od dawna czytelnicy poznańskiego Timesa. Zdają się one być właściwością naszego Księstwa! Podczas gdy bowiem gdzie indziéj skandaliczne zajścia, albo nie wychodzą wcale z poza kulisów, albo też w formie „brukowéj nowiny“ wkradają się do kroniki pism miejscowych — zwykły się one u nas skraplać w zagadkowych inseratach na czwartéj stronicy Dzienika, gdzie już gotowe, jak na bocianów, czeka na nie gniazdo. I tak niech komu wieczorem splatają figla na odludnéj uliczce, już ci nazajutrz zjawia się anons w Dzienniku: „Tadku, co ci się stało na Wildzie?“ — Niech ktoś zaawanturuje się w jakie przedsięwzięcie i zrobi fiasco — to mu pewnie życzliwy przyjaciel doda otuchy inseratem: „Feloniu wdep...eś (!), ale opinia za tobą.“ Co najlepsza, że nawet najdelikatniejsze sercowe sprawy wytaczają się czasami przed forum publiczności, notabene już nie w szaraczkowéj prozie, lecz w odświętnéj szacie rymu. I tak nieraz czytamy czułe dusery, jak:

„Maryniu, złotko moje, na jawie i we śnie
Wciąż marzę ja o tobie i składam ci pieśnie.“

Częściéj jednakże pojawiają się gorzkie wymówki i żółciowe przycinki zawiedzionych w miłości amantów, jak n. p.

„Jadwigo ty masz duszę czarną, jak atrament.
Poczekaj! ty się śmiejesz teraz — będzie potém lament.“

Złośliwa Dulcynea nie pozostaje zazwyczaj dłużną z odpowiedzią i odpisuje swemu Donkiszotowi:

„Jeślim inkaust, mazgaju, to palce z daleka!
Wiedz, że mi od dudka milszy zéz, dziad lub kaleka.“

Z jakich sfer wypływają te wyroby domorosłéj Muzy, nie trudno odgadnąć. Obok całéj swéj szczypiącéj goryczy mają one zazwyczaj taką dozę naiwności, że publiczność zamiast z wyszydzanéj ofiary woli się raczéj śmiać z niegenialnego szydercy. Wielu jednakże gniewa się poprostu na tych ichmościów, którzy brudy swe chcą koniecznie prać en public i miłosne swe gruchania lub żale, zamiast chować w tajemnicy, roztrębują w najlepsze tubą anonsu po świecie. Niejeden rygorysta bierze nawet Dziennikowi za złe, że do inseratowéj swéj oficyny wpuszcza takie paliwody między porządnych kupców, uczciwych rzemieślników i „bezżennych ekonomów z najlepszemi świadectwami,“ lecz cóż? wszakże i cesarz Wespazyan nie wąchał pieniędzy, choć je brał za.... skandaliczniejsze rzeczy, niż anonsowe banialuki. Bądź co bądź, nie trzeba ich tak bezwzględnie potępiać. Toć one okazują dowodnie, że okrzyczana z prozaiczności Wielkopolska ma jeszcze jaki

taki zmysł do poezyi.... choćby częstochowskiéj i przytém nastręczają ziewającemu teraz wieczorami towarzystwu wątku do rozmowy.

Gdybyśmy mieli prelekcye, jak innemi laty, toby się może bez nich i obyło, lecz daremnie na tę mannę duchową téj zimy czekamy. Z początku zanosiło się u nas na prawdziwą ulewę odczytów, tak że już nad tém obradowano, czy dwa czy też aż trzy wieczory w tygodniu na schadzki literackie poświęcić. Według programu bowiem, skreślonego znakomitém piórem, miał tu przyjść do skutku cały kurs wykładów popularnych z nauk przyrodzonych, po którym sobie wszyscy niezmiernie wiele obiecywali, ile że pierwsze lumina naukowe naszéj prowincyi miały wziąść w nich udział. Tymczasem prawdziwie po polsku cała rzecz skończyła się na projekcie, a my zostaliśmy bez wszelkich odczytów, bo te które nam Koło Towarzyskie zwykło co zimę urządzać, zlękły się buńczucznych rywalek i zamilkły wcześnie. Tylko w poczciwém Towarzystwie Przemysłowém sączy, jak dawniéj skromny ponik prelekcyjny, któremu łoskot dalekiego, deszczowego potoku nie potrafił tak zaimponować, jak dostojnemu jego koledze.

XX.

ROZMAITOŚCI.

Znaczenie liczb.

Niejeden człowiek przywięzuje do pewnych liczb wielkie znaczenie, albo też do pewnych dni tygodnia i boi się ich niezmiernie, lub cieszy się na nie, chociaż to jest tylko przywidzeniem i zabobonem nawet, boć liczby w tym względzie nic nie znaczą. Ale w dziejach świata liczby i dni tygodnia odgrywają dosyć ważną rolę i wielcy nawet mężowie na nie zważali, ile że ludzie zawsze są ludźmi i każdy ma swe przewidzenie.

I tak liczbę 13 uważają ogólnie za liczbę nieszczęśliwą, przeklętą, judaszowską, ponieważ Judasz w gronie Apostolskiém z swym Mistrzem był trzynasty. Niech tylko 13 osób zasiędzie do stołu, a szczególnie w wigilią Bożego Narodzenia, co to za kłopot! co za popłoch! Trzeba koniecznie albo jednę osobę usunąć, albo czternastą przybrać. To są słabości ludzkie; ale cóż powiedzieć o mężach stanu, co całym światem trząsają, a podlegają podobnym słabościom? Otóż na Kongresie wiedeńskim zasiadło 13 dyplomatów i dla tego nie chciano rozpocząć czynności. Riza Bey, poseł turecki, jako najmniéj potrzebny ustąpił i dopiero wtenczas 12 pozostałych mężów zaczęło obradować nad nową postacią świata.

Liczbę 7 uważa niejeden za świętą i pomyślną, bo 7 dni w tygodniu, 7 Sakramentów św. — ale inni uważają ją za liczbę nieszczęsną, szubieniczną, bo do szubienicy podobna, a cóż przewidzenie nie wymyśli?

Dla Stuartów liczba 8 nader nieszczęśliwa; i tak w r. 1488 zginął Jakub III w nieszczęśliwéj bitwie z powstańcami; r. 1587 zginęła na rusztowaniu Marya Stuart; 1688 Jakub II utraca koronę, a 1788 umiera Karól Jakub. — Ostatni Stuart, brat poprzedniego — kardynał York umarł 1808, mając lat 82.

Dla Prus liczba 40 jest ważną, bo 1840 wstąpił na tron Fryderyk Wilhelm IV, 1740 Fryderyk II, a 1640 elektor Fryderyk Wilhelm, zwanym wielkim.

Dla Napoleona I pomyślną była liczba 14. I tak 14 czerwca 1800 odnosi świetne zwycięstwo pod Marengo; 14 października 1805 pod Ulm; 14 października 1806 pod Jena i Auerstaedt; 14 czerwca 1807 pod Friedlandem; 14 października 1809 zawiera chlubny i korzystny pokój z Austryakami.

Któż nie wie, jak pomyślny 2 grudzień dla Napoleonów?— 2 grudnia 1804 namaszcza Pius VII Napoleona I na cesarza; 2 grudnia 1805 zwycięstwo pod Austerlitz (Sławkowem); 2 grudnia 1851 Ludwik Napoleon wybrany prezydentem na 10 lat; 2 grudnia 1852 ogłosił się cesarzem pod imieniem Napoleona III.

Nakoniec wspomnę tu tylko, co Zamojski rzekł przed bitwą pod Byczyną, patrząc na zegarek: „Jeszcze czas — dzisiaj niedziela, a w niedzielę zawszem odnosił zwycięstwo!“ i w rzeczy saméj w niedzielę uderzył na Maksymiliana i świetne nad nim odniósł zwycięstwo.

X. S. T.

Wolnoć Tomku w twoim domku.

Niespokojny sąsiad jest dla każdego plagą, lecz najwięcéj daje się we znaki biednym mieszkańcom „pokoi meblowanych“, którzy przez drzwi, zazwyczaj źle szafą zastawione, słyszą najlżejszy szmer w przyległym pokoju. Pewien młody człowiek miał tutaj w zeszłym tygodniu zabawne zajście z porucznikiem, baronem B., z powodu takiego sąsiedztwa. Przez długi czas znosił on stoicznie przygłośne śmiechy i śpiewy barona i powtarzającą się codziennie dresurę psa jego Hektora. Lecz wreszcie przebrała się miarka cierpliwości. Jakieś zbyt donośne „Juppi Vellera!“ wychodzące przeciągle w pokoju oficera aż z kilku naraz gardzieli — w chwili, gdy nasz rodak miał gości u siebie, wyprowadziły go z zimnéj krwi. Nie namyślając się wiele, krzyknął stentorskim głosem: „Ruhig!“ — na co mu tém straszliwém odpowiedziano „Juppi Vellera!“ Dopiero powtórne „ruhig“ odniosło pożądany skutek. W mgnieniu oka nastąpiła cisza, którą żwawe tylko przerywały szepty. Po chwili zapukano do drzwi i niebawem wszedł do pokoju zamaszysto nieznany wojskowy. Przedstawiwszy się gospodarzowi, oświadczył, że przychodzi w imieniu swego przyjaciela, barona B., zażądać satysfakcyi. — I owszem służę panu każdéj chwili, odpowiedział wyzwany, lecz wolnoż wiedzieć, jaką urazę do mnie ma pański przyjaciel? — Pan nakazałeś nam być cicho, a w swoim pokoju każdy ma przecie prawo robić co mu się podoba. — I moje to zdanie! każdy jest panem w swém mieszkaniu. — A cóż znaczy natenczas pańskie ruhig? — Jest to tylko praktyczne zastósowanie mojéj zasady. Panu baronowi podobało się wołać Juppi Vellera, mnie przyszła ochota krzyczeć ruhig. Byliśmy obaj w swoich pokojach. Żaden z nas nie potrzebuje zdawać sprawy drugiemu. — Wszyscy obecni parsknęli na to śmiechem; nawet groźny wysłannik Marsa zagryzł wargi mimo woli. Rozśmianie się to nadało całéj sprawie od razu pokojowy obrót. Po krótkich rokowaniach stanęła ugoda, że obie strony podadzą sobie ręce i nawzajem sobie zaręczą, iż w przyszłości żadna z nich nie będzie używała swego wykrzyknika, jeżeli druga będzie w domu.

e.

Różne myśli.

Kto cudze zalety chwali, jest jako wietrzyk, który woń kwiatów dokoła roznosi.

Przyjaźni sześć jest oznak — powiedział mędrzec indyjski: daje i bierze, zwierza się z tajemnic i pyta się o nie, je u ciebie i prosi cię na obiad.

Zagadka.

Zrodzona w nowym — znam się z starym światem,
Lecz z niebem i zwyczaj mienię.
Tam stroję głowę szafranem, szkarłatem —
Tutaj się cała zielenię.
Kto mnie na części rozbierze,
Znajdzie naprzód hasło żaków,
Podsłuchanie u pstrych ptakow,
A potém grzyb przy literze.

(Rozwiązanie zagadki w nr. 8: ***Karnawał, Kar nawał.***)

PUSZKA DO LISTÓW.

Panu K.: Pas si pénible, mój Panie! Każda redakcya, nie chcąc mieć wieży Babel u siebie, musi swojéj przestrzegać pisowni. — J. Ks. Kuf. w Sier. Polecamy siebie i nasze zagadki dalszym łaskawym względom. — Panu Zak. w Brod.: Dowcipne, ale za lokalne. — P. Br. Ma. w Śre.: Dziękujemy. — Panu P. K. w P.: Anegdotka o wykradzeniu nie zła, lecz dziś dopatrywanoby się w niéj złośliwych aluzyi. Zresztą mniemamy, że po fait accompli honor nie pozwala na żadne targi. — Panu Są. w G.: Radzimy panu unikać żargonu studenckiego w piśmie. Burszada, skuć się, knajpować itp. wyrazy uchodzą chyba w gawędce inter sues! — Panu Leo. w Ks.: Złośliwość nie jest jeszcze dowcipem. Zapominają o tém panowie humoryści z kategoryi „Möchtegern.“

Redaktor odpowiedz.: M. Leitgeber w Poznaniu.—Nakładem Księgarni M. Leitgebra w Poznaniu. — Czcionkami L. Merzbacha w Poznaniu.